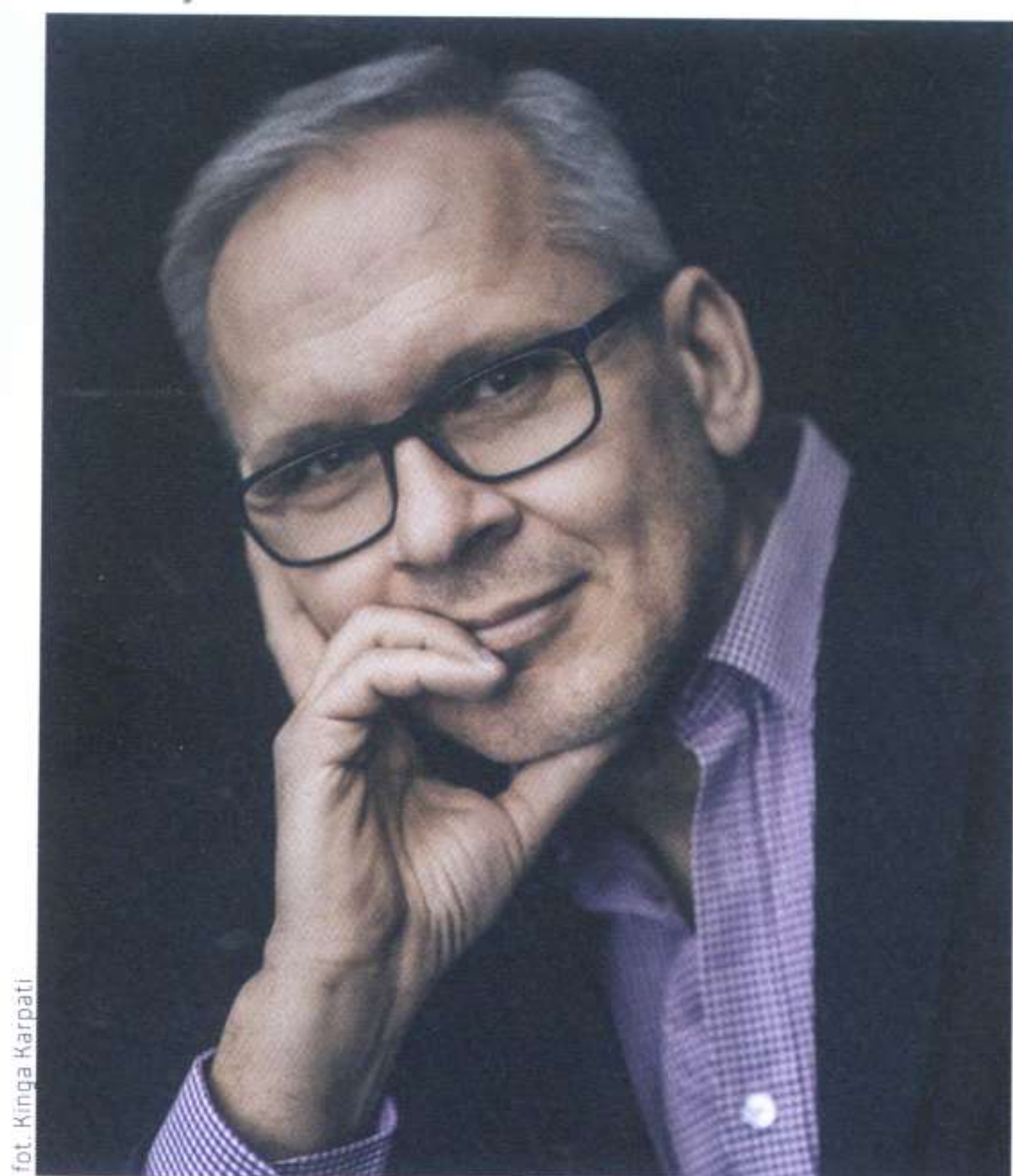




fot. Kinga Karpaci

DZIECKO STEFANIA

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Kiedy młoda aktorka, studentka jeszcze, odsłoniła na scenie pierś i zaczęła karmić swoją małą córeczkę, przeleciała mi przez głowę myśl, że to koniec, niczego więcej już w teatrze nie zobaczę. Przeszliśmy już przez teatr licealistów, gimnazjalistów, a nawet przedszkolaków, i to w wersji nie dla dzieci, ale dla dorosłych – młodych dorosłych, młodszych i kompletnie zdzieciniałych – a teraz, razem z aktorkami i aktorami, przebrani w te wszystkie modne dresiki, luźne szorty, obcisłe legginsy, piętrowe trampki i kolorowe skarpetki, zjechaliśmy jak na zjeżdżalni prosto do piaskownicy i zostaniemy już w niej na zawsze. Zostaniemy, będziemy kopać dołki, robić babki i bawić się kamykami, a bujne mamy do końca teatralnego świata będą nas przewijać, wysadzać i kałnić swoimi kobiecymi opowieściami.

I rzeczywiście był to koniec, dla mnie przynajmniej, bo wkrótce potem, z obawy przed wirusem, zamknięto wszystkie teatry. Moje ostatnie żywe wspomnienie ze spektaklu to właśnie ta pierś i to dziecko, dziecko Stefania. Ale nie jest to wspomnienie złe, niewykluczone nawet, że nic lepszego nie mogło mi się przytrafić na pięć minut przed pandemią. Może dlatego, że Stefania okazała się dzieckiem spokojnym, sympatycznym i tak w swojej roli autentycznym, jakby się w teatrze wychowała? Albo dlatego, że jej mama, a także koleżanki mamy i koledzy – obchodzili się z nią w sposób tak naturalny, jak to tylko młodzi rodzice, ciocie czy wujkowie zrobić potrafią? Ta ich naturalność, połączona z ironią, dystansem, poczuciem humoru i nadzwyczajnym wyczuciem formy scenicznej, sprawiła, że moja pierwsza myśl szybko ustąpiła drugiej.

Takiej mianowicie, że koncepcja przedstawienia jako próby, a więc gry prawdą i fikcją na oczach zdezorientowanej publiczności, jeszcze się całkiem nie zużyła. Mimo że awangardowe sceny zrobiły z niej konwencję, sceny szkolne potrafią tchnąć w nią ducha nowości.

Mowa o *Hymnach*, które na podstawie scenariusza Natalii Fiedorczyk zrealizowała w Akademii Teatralnej w Warszawie Anna Smolar. Pewnie ich szybko nie zobaczycie, więc opowiem. Grupa studentów zabiera się do przygotowywania scen dyplomowych, których tematem ma być *baby blues*, czyli depresja młodej matki, która nie radzi sobie z nowymi obowiązkami. Pewnego dnia gubi na przykład swoje dziecko w sklepie, między półkami z masłem. Domyślamy się, że stawką w ich grze będzie solidarność, wyrozumiałość i współczucie. Tymczasem na próbę przychodzi studentka z prawdziwym dzieckiem na rękę i wywraca cały plan. Młodzi aktorzy zachowują się jak należy, to znaczy akceptują fakt, że niania nie przyjdzie, a koleżance potrzebna jest pomoc, szybko jednak obecność bobasa staje się dla nich kłopotliwa.

Łatwo zgadnąć, że niania zawiodła jedną ze studentek Akademii Teatralnej, a determinacja Weroniki Bochat, by próbować dyplom z dzieckiem przy piersi, stała się impulsem do zespołowej pracy nad spektaklem, który miał podejmować podobny temat, ale zupełnie inaczej. Pierwotnie podstawą scenariusza spektaklu miała być głośna książka Fiedorczyk *Jak pokochać centra handlowe*, której tematem jest kobieca depresja wywołana utratą złudzeń, że po urodzeniu synka lub córeczki można pozostać tą przebojową kobietą z ambicjami, którą się było przed porodem. Zjawienie się studentki z dzieckiem popchnęło reżyserkę, scenarzystkę, a przede wszystkim młodych aktorów w nieco innym kierunku. W wyimprowizowanych przez nich dialogach i monologach, a także songach Fiedorczyk, które studenci AT wykonują z wielkim talentem wokalnym, usłyszałem nie tyle kobiecą depresję (której występująca w *Pilotach* aktorka chyba nie przeżywa), ile wspólną im wszystkim niepewność. Lepiej kogoś poznać, zamieszkać ze sobą, pobrać się, mieć dziecko – czy kształcić się, rozwijać zawodowo, robić karierę? Czy da się te opcje pogodzić? Jaką cenę trzeba zapłacić za wybór jednej z nich? W imię czego wybierać?

Hymny nie są spektaklem dydaktycznym, a próba grupowej solidarności z młodą matką to tylko punkt wyjścia do bardziej skomplikowanych improwizacji, które Fiedorczyk zakorzeniła w osobistych wspomnieniach aktorów o matkach i ojcach. A jednak to, co decyduje o ich ciężarze, zdaje się sprowadzać do tych kilku pytań, z których ostatnie wydaje mi się najważniejsze.

A więc w imię czego zakładać rodzinę lub jej nie zakładać, rodzić i wychowywać dziecko lub go nie rodzić i nie wychowywać, oddawać mu uczucia, siły, uwagę, sen, czas, możliwości – lub nie oddawać? W imię czego rezygnować z siebie lub nie rezygnować? I czy to aby prawdziwa alternatywa? Nie pamiętam, by w teatrze ktoś wypowiedział te naprawdę poważne dylematy młodych ludzi z taką siłą i szczerością, nie popadając przy tym w kicz półamatorskich warsztatów, które upodobały sobie progresywne sceny zawodowe. Nie pamiętam, by je ktoś piękniej zaśpiewał, a ojcowska skarga: „Ta miłość dużo mnie kosztuje”, ciągle do mnie wraca. Nie żałuję więc, że ostatni wieczór teatralny przed globalną kwarantanną spędziłem ze Stefanią i jej mamą, która, by zostać dobrą aktorką, zabrała kiedyś małe dziecko do szkolnego teatru. Dzisiaj, by pozostać dobrą mamą – pomimo zawodowego niepokoju, który zafundował jej wirus – robi pewnie teatr dla Stefanii. Wiem, że jest świetny, widziałem przecież *Hymny*. ■